

Najdroższy Ojcze!

Mija 30 lat od Twojej śmierci. Teraz dopiero pojawiły się szanse na spełnienie Twojego wielkiego marzenia, aby wspomnienia obozowe zostały wydane. Zbieranie dokumentów, listów i fotografii wywołuje wiele obrazów z przeszłości. Słyszę Twój głos, kiedy opowiadasz o swoich przeżyciach, wspominasz osoby, fakty z życia obozowego.

Dużo mówiłeś. Chciałeś przekazać informacje o tych, którzy przeżyli obóz, wspomnieć tych, którym nie było dane przetrwać obozowej gehenny. Wielokrotnie to Ty – na prośbę rodzin – żegnałeś nad grobem oświęcimskich przyjaciół. Było to szalenie poruszające.

Dom nasz zawsze był otwarty dla „braci oświęcimaków” – tak ich nazywałeś. Odwiedzali Cię licznie i bardzo często. Były to osoby z Polski, jak też z różnych stron świata. Przysłuchiwałam się tym rozmowom. Dowiedziałam się wówczas, jakim byłeś człowiekiem w obozie, jak ratowałeś życie innym, częstokroć narażając się na śmierć.

Bywało, że towarzysze obozowi szukali Cię wiele lat, by podziękować za udzieloną pomoc w ocaleniu życia. Byłam świadkiem takich spotkań, gdzie przez kilka minut nie padało ani jedno słowo, był gorący uścisk, przytulenie, a potem łzy wzruszenia, cisza...

Wojny nie przeżyłam, ale żyłam w jej cieniu. Z obozu wróciłeś odmieniony. Jak mówiła moja śp. mama: „Miałam dwóch mężów – Stacha przed obozem i Stacha po obozie”. Wieloletnie dramatyczne przeżycia zrujnowały Twoje zdrowie fizyczne i psychikę. Po powrocie z obozu otrzymałeś propozycję bardzo dobrej posady, wraz z luksusowym mieszkaniem, ale ceną było pozbycie się swoich przekonań oraz ideałów i wstąpienie do PZPR. Odrzuciłeś to bez chwili wahania. Nawet dla rodziny, którą tak bardzo kochałeś – nie byłeś w stanie tego uczynić.

W pamięci mojej pozostaniesz na zawsze uczciwym, dzielnym, dobrym człowiekiem – stanowczym, wymagającym, czasem nawet surowym, ale zawsze sprawiedliwym i kochającym.

Odszedłeś nagle i cicho we śnie – tak jak chciałeś. Do końca dni zachowałeś sprawność fizyczną i bystrość umysłu mimo osiemdziesięciu dziewięciu lat.

Jesteś w gronie ukochanych – żony Wandy i syna Jacka.

Maria

Podziękowanie

Serdecznie dziękuję Panu Michałowi Gałkowi za rzetelność, skrupulatność i wielkie zaangażowanie w znalezienie wydawcy oraz udział w redakcji wspomnień mojego ojca Stanisława Głowy.

Maria Korpas

Prolog

Przychodzę na ten cmentarz raz w roku...

Niewielki cmentarz Salvatorski jest dla mieszkańców Krakowa szczególnie drogi. Ma on niezwykle urok, zarówno dzięki legendom, pamiątkom archeologicznym pogańskiego i wczesnoromańskiego pochodzenia, wydartym wzgórzem św. Bronisławy, na którego stoku leży, jak i pięknemu położeniu. Wspaniała, pnąca się w górę aleja kasztanowa, prowadząca na Kopiec Kościuszki, zostawia po lewej stronie ten ustronny zakątek z lasem krzyży i kamieniami nagrobkowymi, często już zapadłymi wśród zieleni drzew i krzewów nieregularnie tu rosnących. Jakby w gaju świętym, gdzie kilka zaledwie drózek przecina zaniedbane na ogół kwatery wiekuiste, rozprawiając pozorny ład i porządek. Bo i zmarli podlegają rejestracji żywych. Rozległy widok krajobrazu uciekającego w dół, do leniwie od Bielan płynącej ku klasztorowi norbertanek i Wawelowi Wisły, nieodległe pola, lasy, skały z przeciwległą grotą Twardowskiego. I daleka przestrzeń, której już potem nic nie przesłania aż do majaczących we mgle Tatr. To wszystko nastraja

uspokajająco, jakby odrywa od rzeczywistości, każe zapomnieć o życiu, jego trudach, kłopotach i radościach. I ta cisza! Cisza od ludzi i gwaru wielkomiejskiego, bo głosy ptaków, które ten południowy, skąpany w słońcu stok upodobały sobie, powiększają ją jeszcze.

Przychodzę na ten cmentarz raz w roku, by złożyć czerwone róże w miejscu upamiętniającym bohaterską śmierć kilkudziesięciu młodych ludzi, rozstrzelanych podczas pacyfikacji na Woli Justowskiej 28 lipca 1943 roku. Wpatruję się w twarz 23-letniego Józefa Stramka o wyglądzie dziecka. Przypatruję się Marii Zielińskiej, braciom Lelito (Jan i Stanisław), Gaudynowi (lat 18), Irenie Duma i wielu, wielu innym.

W tym roku, kiedy z wiązką róż zebranych w moim ogródku wchodziłem na Cmentarz Salwatorski, do uszu moich dobiegły zmieszane odgłosy rozmów, właśnie od strony grobu-pomnika mieszkańców niedalekiej Woli Justowskiej.

Kiedy podszedłem bliżej, zauważyłem gromadkę dzieci szkolnych, które porządkowały groby przed dniem pamięci zmarłych, robiąc przy tym dużo ruchu i hałasu. Położyłem na cokole płyty grobowej kwiaty. Podszedł do mnie jeden z chłopców i zapytał:

– Czy tu może pochowany jest ktoś z pana rodziny?

– Nie – odrzekłem.

– Takich grobów, miejsc śmierci, męczeństwa Polaków jest w naszym kraju bardzo dużo. Niezliczona ilość! I trzeba o tych, którzy o naszą wolność walczyli, pamiętać. Ale największy obóz śmierci z czasów wojny – wtracił umorusany chłopiec – to był Oświęcim, my się o tym uczyliśmy w szkole.

– Tak – odpowiedziałem. – To już należy do historii i dlatego się o tym uczycie.

Ale to nie jedna historia, pomyślałem. Chciałem odejść, ale rezolutny chłopiec pytał dalej:

– A pan jako starszy człowiek zna może takich, którzy przeżyli Oświęcim? Bo mój wujek pokazywał mi na ręce numer, taki niebieski, jakby atramentem napisany. I lubię słuchać, jak on opowiada o tych rzeczach, chociaż to takie okropne, że się wierzyć nie chce.

Poczułem nagle na lewym przedramieniu jakby klucie czy pieczenie. Nie mogę się tego uczucia pozbyć od trzydziestu niemal lat, od chwili, kiedy mnie, Stanisława Głowę, 19 maja 1941 roku pozbawiono nie tylko wolności, ale wszystkiego, łącznie z nazwiskiem. Nr 20017. Ileż myśli, uczuć, wspomnień w jednej chwili zebrało się naraz we mnie. Nie wiem, czy to trwało sekundy, czy minuty, czas nie grał tu żadnej roli, tak jak nie grał tam. Wszystko złało się w jeden koszmar, który teraz nagle odżył. Nr 20017...

Przez te lata nowego życia po wyzwoleniu zawsze uciekałem od tamtych. Tamte lata... Wyłączyłem je z mojej świadomości, wykreśliłem ze swej biografii. Dziś przeżycia te odnowiły się gdzieś w zakamarkach mózgu, wyzwoliły, wróciły ze zwielokrotnioną siłą. Jedne na drugie nakładały się bezwładnie, jakby kto epizody, wydarzenia, powieści czy filmy wymieszał, nie zważając ani na chronologię, ani na związki przyczynowo-skutkowe. Jak w nowej powieści typu *Ulisses* Joyce'a. Akcentem stale powtarzającym się w tej błyskawicznej wizji całości i strzępów był numer 20017.

Zawinąłem rękaw i szybko wyszedłem z cmentarza, nie przystając nawet przy grobowcach Rostworowskiego

i Osterwy, gdzie zwykle lubiłem zatrzymać się chwilę. Szybkim krokiem dążyłem do moich róż, do swego ogródka, znajdującego się o kilkaset metrów dalej na stoku tego samego wzgórza spadającego od Kopca ku Wiśle.

Zbaczając z głównej alei na węższą drogę prowadzącą do mojej posiadłości, zauważyłem wolno idącego mężczyznę, który przystanął na mój widok. Spojrzał na mnie, zatrzymał się, a kiedy go minąłem, zapytał:

– Staszek, to ty!?

Odrzuciłem się. Od razu poznałem Józka W., kolegę ze studiów uniwersyteckich.

– Kopę lat! Chyba ze czterdzieści – odpowiedziałem, witając się.

– A wtedy, pamiętasz, jak często spotykaliśmy się na wykładach Łosia, Nitscha, Chrzana? Pamiętasz jego wykłady w Sali Kopernika? Chrzanowski – dopowiedział Józek. – Wspaniały człowiek i znakomity profesor. Wykończyli go, jak wielu innych uczonych Uniwersytetu Jagiellońskiego, w Sachsenhausen. A wiesz, że jego uczniowie, których już coraz mniej, w rocznicę jego śmierci urządzą nabożeństwo w kościele św. Anny? Ale czekaj, któryś z kolegów, Władek S., zdaje się, mówił mi, że ty byłeś w czasie okupacji w Oświęcimiu. Nazywali cię Schreiberem.

– Tak, ale po co wspominać te okropne czasy? – Doszliśmy do mojego ogródka. – To tu – rzekłem.

– Co tu?

– No, tu jest mój ogród, azyl, oaza ciszy i wypoczynku. Jeżeli masz trochę czasu, to wstąp na chwilę, pokażę ci moje róże, mam odmianę, którą sam wyhodowałem.

Otworzyłem żelazne drzwiczki i wąską dróżką, nad którą zwisały gałęzie z dojrzałymi już jabłkami, skręciłem w lewo ku moim różom. Powietrze było świeże, niebo czyste, blade. Wydawało mi się, że barwy kwiatów w rannym jesiennym słońcu są silniejsze, żywsze niż zazwyczaj. Już od kilku lat zwracam szczególną uwagę na grę światła zmiennych na kwiatach o różnych porach dnia i roku. Znam tu każdy krzew, każdą różę. I te kremowe, przypominające nagie ciało pięknej młodej dziewczyny, i te bladożółte z odcieniem czerwieni nieokreślonej, jaka czasem występuje na niebie tuż przed zachodem słońca. I te białe, kredowe, papierowe, jak sztywnikiem posypane kołnierzyki dzieci idących z równie białymi świecami do Pierwszej Komunii. I te czerwone purpurą dostojników kościoła tłuste, ogniste jak język diabła z szopki. I jeszcze inne. Po prostu róże, różowością i barwnością jutrzeńki i zjawisk nieba natchnione, nieśmiertelne, choć krótko żyjące i tak delikatne, czułe i kruche.

Badawczym okiem popatrzyłem na krzew rosnący w kącie ogrodu, jedyny krzew, który od kilku lat rodził tylko jeden kwiat o niezwykłym kształcie i kolorze. Już rozchyłał swe płatki, ukazując gorzką czerwień – niemal czarną – swojego pąka.

– Ładnie tu – przerwał moją zadumę kolega. – Niemcy podobno też lubili ogrody, kwiaty. Nade wszystko róże czerwone jak krew. W Oświęcimiu było dużo kwiatów.

Ogród Hössa zajmował bardzo dużą, oszkloną przestrzeń, gdzie hodowano moc kwiatów dla dostojników Rzeszy i samego Führera. Pamiętam, jak w okresie Bożego Narodzenia kosze róż szły do Berchtesgaden, do siedziby Hitlera i Ewy Braun.

– No i gdzie ta twoja odmiana róży?
– Nikomu jej nie pokazuję, zresztą nikt poza rodziną tu nie przychodzi. To jeszcze wciąż próby.

Usiedliśmy najpierw na ławeczce.

– Lubię tu przebywać. Ten widok na daleki bezkres aż ku góróm daje mi dużo radości i zapomnienia.

Za Wisłą wyłoniły się białe i czerwone zabudowania Kobierzyna z wyraźnymi zarysami bloków. Rozrzucone rzadko wśród gęstej zieleni zdały się przybliżać ku nam, w miarę jak mgły nad Wisłą rozpraszały się.

– W Kobierzynie Niemcy podobno wszystkich chorych umysłowo jednego dnia wykończyli – rzekł Józek.

– Tak – odpowiedziałem. – A tu, kilkaset metrów za nami, za tym pagórkiem, jest bardzo malownicza kotlinka w lesie. Miejsce pamiętne męczeństwem rozstrzelanych tam masowo więźniów politycznych. Stoi tam piękny pomnik. Ziemia krwią przesiąknięta. Nie da się od tego uciec. Lasy za Bielanami dużo by opowiedziały.

– Tak – rzekł Józek. – Ziemia gromadzi prochy, ale Oświęcim... Właśnie... Oświęcim...

Po tylu latach, po tylu opisach, badaniach, zebranych materiałach archiwalnych i lekarskich, problem ten – psychologicznie na sprawę patrząc – jest dla oświęcimiaków chyba kompleksem, a dla ogółu zjawiskiem raczej już historycznym, a nie czymś żywym. Bardziej żywym chyba nawet dla Niemców, o czym świadczą wizyty dygnitarzy z Niemiec.

– Widzisz, Józku – rozpałiłem się, nie przeczuwając, jak wciąga mnie w ten temat, od którego za wszelką cenę uciekałem – dla mnie to nie jest już tylko problem, ale cała filozofia. Tak, filozofia. Pamiętasz wykłady Kub-

czyńskiego? Kiedy rozważał różne systemy filozoficzne? Zawsze szukał odpowiedzi na pytania, które jakby sam sobie zadawał, co w danym systemie, a co w myśli, poglądach tego czy innego filozofa zasługuje na uwagę ze względu na moralną stronę zagadnienia. Bo filozofia jest wykładnią bytu istniejącego czy wyimaginowanego. Hitler przecież był idealistą.

– Kubczyński podobny był w tym do Chrzana – przerwał Józek. – Ocenę pisarzy opierał zawsze na kryteriach moralnych, które stawiał wyżej niż artystyczne. Z tego powodu nawet czyniono mu, jako historykowi literatury, zarzuty.

– Otóż – kontynuowałem zaczęłą myśl – mój Oświęcim należy obecnie do kategorii nieegzystencjalistycznych.

– To znaczy?

– To znaczy, że wyłączyłem go ze swojej świadomości.

– W takim razie – zareplikował Józek – wegetuje w podświadomości i zgodnie z teorią Freuda... przypomnam ci wykłady Mysłakowskiego... szuka jakiejś kompensacji.

– Spójrz na tę odmianę róż – spróbowałem znowu uciec od tematu. – *Rosa capitata*, podobna do główki, do małej główki

– *Omen nomen* – wtrącił kolega.

Róża główki jak tych..... Tam też były róże... W ogrodzie Hössa. Tylko płatki miały nieco bardziej szpiczaste!

– Ale jak ty znalazłeś się w Oświęcimiu? – natarł już zdecydowanie kolega. Czułem, że nie wykręcę się już moimi różami.

Jeszcze próbowałem zagadać.

– A może zagramy w „zechcyka” jak dawniej?

– Możemy grać, ale gadaj, o co pytam.

I tak się zaczęło: róże, Oświęcim, 66 w karty i nr 20017.